

Tajemnicze oczy.

(Powieść na tle notatek amerykańskich dedektywów).

10

— Nie nazywam się Castro — mówił szyderczo Bradmardine — to było nazwisko przybrane, teraz już niepotrzebne.

Leonora zadrżała. Zdawało się jej, że to pewnie agent policyjny, który ją chce uwięzić.

A więc nie ujdzie już przed pościgiem! Myśl straszna.

Ale Leonora miała taki zapas energii i siły moralnej, że zawsze zdołała opanować się w porę, więc odzyskawszy spokój i zimną krew, zapytała poważnie:

— Jaki cel tej komedji? czego pan sobie życzysz?

— Celem tej komedji — mówił Bradmardine szyderczo — pochwyć cię w swoje ręce, co mi się całkowicie udało. A życzę sobie, abyś mi się moja pani zupełnie oddała, była posłuszną i w niczem nie stawiała oporu. Nikt ci z pomocą nie pośpieszy, nic cię z mych rąk nie uwolni.

Leonora cofnęła się wstecz, jakby sposobić się chciała do obrony i ponownie z wysileniem energii zapytała:

— Kto pan jesteś, czego chcesz?

— Kto jestem, to obojętne, a chcę, abyś mi natychmiast wydała wszystkie papiery i listy swojej matki.

— Mojej matki? A! już wiem, niegodziwcze! To pan jesteś tym nikczemnikiem, co zatruł życie mojej matki; to pan jesteś tym kłamcą i obłudnikiem, co pod pozorem przyjaźni i życzliwości chciał matce wydrzeć jedyne dziecko. Znam cię już teraz panie Jasonie Bradmardine! Pogardzam tobą, nienawidzę cię złochnie i papierów nie wydam nigdy, rozumiesz rozbójniku!

Mówiła z uniesieniem, płomienna gniewem i energią. Bradmardine nie spodziewał się takiej energii, takiej śmiałości.

Był pewien, że sierotę od razu zastraszy i zmusi do posłuszeństwa. Spotkawszy taki opór i upór, widzi, że raczej spokojną enę głą i stanowczością niż groźbami celu dosięgnie.

— Pojmuję uniesienie pani; wcale mu się nie dziwię, nawet je oceniam należycie, ale to wszystko, co pani mówi, nie zniewoli mnie wcale do odstąpienia od moich żądań. Skoro pani słyszałaś o mnie od swej matki, to zapewne i to ci powiedziano, że jestem wytrwały, stanowczy, przed niczem się nie cofam, byle celu dopiąć. Na długie rozprawy z panią nie mam czasu. Muszę się spieszyć. Jeżeli mi nie oddasz dobrowolnie wszystkich dokumentów i listów, użyję przemocy, bo je mieć chcę, mieć muszę i mieć będę! Rozumiesz pani? Ja je muszę mieć!

To rzekłszy, zbliżył się do Leonory z iskrzącym wzrokiem.

— Precz odemnie! — krzyknęła Leonora, wyprostowawszy się dumnie i wyciągnęła rękę, jakby chwylała za broń.

Bradmdardine spostrzegł ten ruch.

— To się na nic nie przyda. Chcesz pani chyba skończyć jak bohaterka tragedji. Nie sprzeciwiam się temu. Chcesz swojej śmierci, to ją znajdziesz; ja twej broni się nie lękam. Oddaj papiery, które masz pewnie przy sobie.

Z temi słowy rzucił się na Leonorę, schwycił ją za rękę i przewrócić usiłował. I teraz spotkał się z oporem niespodziewanym. Leonora była silną; rozpacz siły jej wzmogła, wyrwała się z rąk napastnika, odepchnęła go tak gwałtownie, że aż się zatoczył o kilka kroków.

— Ha! jedź do piekielna! Dość tego. Giń, przepadnij!

Przyskoczył do Leonory, wściekłość zdwoiła mu siły; chwycił ją za gardło, ścisnął jedną ręką, a drugą szukał papierów. Ryczał z wściekłości, nie mogąc ich znaleźć w ubraniu swej ofary. Leonora raz jeszcze wyrwała się z rąk napastnika, raz jeszcze odepchnęła go, ale siły jej wyczerpane oporem i walką opuszczać ją zaczęły; wydała straszny krzyk rozpacz i runęła zemdłona na posadzkę.

Bradmdardine rzucił się na nią, rozerwał suknię na piersiach i sięgał po ukryte papiery, gdy nagle drzwi się rozwarły, wpadła postać kobieca, napastnika odepchnęła od Leonory i przyłożyła mu do głowy rewolwer.

Leonora ocknęła się z omdlenia. Ze zdumieniem poznała w przybyłej kobiecie siostrę sennora Castro, a jeszcze większe było przerażenie Bradmardina, gdy zobaczył wdowę O'Neil, swą po-wiernicę, z rewolwerem przy swej głowie. Rozjaśniło mu się teraz, w jaką wpadł matnię. Zaklął strasznie, wściekle.

— Nie gniewaj się pan tak bardzo, sennor Castro, Jason Bradmardine, panie Brady. No, nie ja temu jestem winien, że się pa u zachciało mieć kobiecego agenta policyjnego! No, przecież pysznie wyglądałem, jako wdowa O'Neil. Tak, mój zacny panie Jason Bradmardine, teraz już chyba pojmiesz, że wiem dobrze o wszystkim, o tym pościgu za tą panią, aby ją pozbawić wszystkiego, a zdobyć milionową sukcesję, no i tak dalej i tak dalej. Tymczasem zostaniesz tu mój łaskawco, abyś sobie rozmyślał o przeszłości i przyszłości, a pani poszuka sobie bezpiecznego mieszkania.

Bradmdardine pienił się ze złości, miotał przekleństwa na Stuartha, ale ten uśmiechał się obojętnie i bawił się widocznie wściekłością zbira.

— Panno Armyn — rzekł Stuart do Leonory z uprzejmym ukłonem — proszę ten rewolwer trzymać nad głową pana Bradmardina, dopóki nie załatwię jeszcze małej formalności.

Leonora pochwyciła rewolwer i mierzyła dobrze w głowę opryska.

Tchórz, jak każdy nikczemnik, nie opierał się, dał z sobą wszystko robić, co się Stuartowi podobało. Stuart skrępował mu ręce i nogi powrozami.

— Teraz nie będziemy już pana trudzić swoją obecnością. Zapewne się pan dziwisz, jakim sposobem dostałem się tu, tak bardzo w porę, mimo, że pan zamknąłś pokój? No poproszę przewidziałem pańskie zamiary i przepiłowałem zasuwę u zamku tak, że pod silnem szarpnięciem musiała się złamać. Jeszcze bardziej pana to dziwi, że cię w tej chwili nie oddaję do więzienia; mógłbym to uczynić, ale muszę innym pozostać przyjemność rozprawienia się z rycerzem, walczącym o milion sierocego spadku. Tymczasem ostrzegam: wara od panny Leonory Armyn, wara od owej kobiety, którą napadłeś raz i ciężko zraniłeś, którą ci drugi raz na ulicy z ręką wydarłem. A jeżeli ci, zacny panie, owych papierów tak bardzo potrzeba, to udaj się po nie do mnie. A teraz wdowa O'Neil żegna cię zacny mistrzu, bo już jej zapewne nie będziesz porzebował.

Rzuciwszy pogardliwe na Jasona spojrzenie, wyszedł Stuart z Leonorą.

Na schodach zatrzymała się Leonora i rzekła: — Ocaliłeś mi pan życie. Jestem wdzięczna, bardzo wdzięczna. Śmierci nie lękam się wprawdzie, ale z rąk tego człowieka zginać nie chciałam. A teraz czy wolno pana o coś zapytać?

— Proszę bardzo.

— W tem przebraniu za kobietę domyślam się pana Neil Stuartha, czy zgadłam?

— Istotnie. Jestem Neil Stuart, gotów służyć pani opieką, jak najlepszy przyjaciel.

— Dziękuję. Czy mam iść z panem?

— Na razie będzie to dla pani najbezpieczniej. Mój powóz czeka pod bramą, zawiozę panią w spokojne i bezpieczne miejsce.

— Dziękuję.

Siedli do powozu, nic do siebie nie mówiąc, bo Stuart nie chciał mówić głosem przybranym a własnym mu nie wypadło w przebraniu kobiecem; Leonora zaś była bardzo zmęczona. Kilka razy zapytywał Stuart po cichu, czy nie czuje się słabą.

Uspokajała go, dopiero gdy przejeżdżali kolo jakiejś apteki, nagle zawołała:

— Słabo mi, mdliję, wody!

Stuart pobiegł do apteki, wraca z wodą, eterem, amoniakiem; spieszy ku powozowi, a w powozie niema Leonory.

XX.

ROZDZIAŁ BEZ TYTUŁU.

W mieszkaniu Stuartha była główna kwatera Ferrarsa i Jocellyna. Tam się schodzili, tam naradzali, tam układali plany. Właśnie Francis Ferrars zagrzebał się w stosie papierów, studjował je starannie, rozmyślał nad nimi.

Były to listy Bradmardina, przez Stuartha znalezione i liczone notatki Stuartha.

Nagle wpadł Stuart do pokoju, zrzucił z siebie z pośpiechem ubranie kobiece i usiadł w fotelu, nie mówiąc nic, nie witając się nawet z przyjacielem.

Ferrars patrzył nań zdziwiony, ale mu nie przerywał milczenia. Po chwili zerwał się Stuart, wyciągnął rękę do Ferrarsa i zawołał:

— Dzień dobry. A to dziewucha z piekła rodem! No proszę, wyobraź sobie: uciekła znowu!

— Leonora Armyn?

— A ona, ona! Drugi raz wywiodła mnie w pole!...

— Jakże się to stało?

— Zaraz opowiem. Ale sprytna, niech ją djabli biorą — dodał, śmiejąc się wesolo.

Chciał opowiadać, gdy zjawił się Jocellyn i, zobaczywszy Stuartha, spytał z uśmiechem:

— Jak się masz wdowo O'Neil? Czy już po robocie?

— Oho! już niema wdowy O'Neil; przepadła na zawsze dla swego pana Bradmardine.

— Ej? cóż takiego?

— Dobrze, żeś w porę przyszedł; nie będę potrzebował dwa razy opowiadać. Siadaj, nie rusz się, nadstawcie uszy obydwaj i słuchajcie.

Stuart opowiedział całą przygodę z wszystkimi szczegółami; wszystko, co się stało z sennorem Castro i z Leonorą; jak przepiłował zamki, jak za drzwiami przysłuchiwał się rozmowie Bradmardina z Leonorą, jak ją obronił a Bradmardina związał i jak mu Leonora uciekła.

— Dwie godziny szukałem jej po całym mieście. Znikła, jakby w ziemię zapadła.

— A mówię ci zawsze Neil, że kobieta nawet djabła w pole wywiedzie, a nie dopiero Stuartha — żartował Jocellyn.

— Żart żartem, moi drodzy — rzekł Ferrars — ale co teraz?

— Trzeba Leonory szukać — odpowiedział Stuart. — Ja się tego już nie podejmę. Raz dla tego, że mnie zna i zawsze się spłoszy; nie mam do niej szczęścia; a powtóre dlatego, że ona mi zupełnie niepotrzebna.

— A podejrzenia o morderstwo męża? — wtrącił Ferrars.

— Bezpodstawne! Ona niewinna, za to ręczę i wnet będą na to dowody. Niech jej szuka Ferrars, jako dziedziczki mijona.

— A Bradmardine?

— Związany w mieszkaniu wdowy O'Neil. Zajmijcie się jego losem; mnie już pilno do zamieszkania z piękną panną.

— Żartujesz — rzekł Jocellyn — a to przecież sprawy tak ważne.

— Właśnie dlatego pilno mi do ładnej panny.

— Nie rozumiem.

— Cierpliwoci! A co do Leonory, zaręczam ponownie, że niewinna. Ukrywa jakąś tajemnicę, którą tu z sobą przywiozła już ze wsi i dlatego ubiega, chowa się, chroni, ale morderczynią nie jest i być nie mogła. Wiercie mi, zapewniam stanowczo. Dowiedcie się niedługo. A teraz bądźcie zdrowi.

Uporządkował na sobie ubranie i wyszedł.

XXI.

NIEPOTRZEBNY KUZYNEK.

Upłynął tydzień od owego dnia i trzej przyjaciele przez ten czas prawie nie widzieli się ze sobą. Stuart przepadł bez wieści. Jocellyn i Ferrars tyle mieli zajęcia, że na schadzki nie było czasu.

Tymczasem Durand wyjechał nagle w interesie do St. Louis, a że lekarz doradził jego żonie zmianę powietrza, więc i ona pojechała z m. żem. Laura została sama. Żeby jej oszczędzić kłopotów z doglądaniem służby i gospodarstwem, przyjeżdżała na kilka tygodni bardzo przyzwolną osobą starszą do zarządu domem.

Był dzień chłodny, ponury, dżdżysty. Laura siedziała w swym buduarze przy kominku i piła czekoladę.

Ubrana, jak zawsze, z gustem i przepychem. Służący podał na srebrnej tacy listy z poczty przyniesione.

Ujęła pierwszy z krąju.

Uśmiechnęła się radośnie i czytała:

„Korespondencja z panią uszczęśliwia mnie prawdziwie. Otrzymałem bilet pani, niestety tak oszczędny w słowach. I za to dziękuję pełną wdzięczności. Wiadomość o przyjeździe rodziców pani zdziwiła mnie niezmiernie. Prawdziwa to dla mnie niespodzianka. Pewnie pani dotkliwie uczuwa swoje osamotnienie. Nie wiem, kiedy